

Brzydkie złe duchy w starym bucie

Stanisław Truchan



CD-ACTION
www.cdaction.pl

RW2010

STANISŁAW TRUCHAN
BRZYDKIE ZŁE DUCHY W STARYM BUCIE

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2014

Korekta i redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Stanisła Truchan 2014

Okładka Copyright © Mateo 2014

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Inspektor Gogern wyjrzał przez okno i zaklął. Chyba znów będzie musiał jechać okreśną drogą. Gdyby się nie zasiedział nad tymi cholernymi papierzyskami, bez problemu by zdążył przed zamknięciem ulicy. Najwyższy czas wracać; a nuż jednak się uda? Może zdąży, zanim szanowny pan kanclerz wraz z pilną jego bezcennej osoby kompanią komandosów wyruszy z pałacu, przejedzie przez całą stolicę i zniknie za rogatkami, by się zapuścić w chaszcze Lasów Nobalickich w poszukiwaniu swoich ulubionych grzybów...

A wszystko przez tego cwaniaka Ortelara. Gdyby nie on, od późnej jesieni aż do lata byłby święty spokój, bo w kwietniu ani w maju na tej szerokości geograficznej grzyby nie rosną. Ale jemu zachciało się kontraktu na dostawy dla Marynarki Wojennej... A któż mu to mógł załatwić? Admirał Fetel? A może Sztab Generalny? Albo Ministerstwo Obrony? Przecież oni wszyscy guzików u spodni sobie nie zapną, zanim nie zapytają kanclerza, od którego zacząć. Tak więc Ortelar postanowił wkraść się w łaski Noaha Sayandina. Wpadł na pomysł, żeby sprowadzić z Kalomerii grzybnię cytryniaka pręgowanego, który rośnie przez cały rok z wyjątkiem zimy – od kwietnia do listopada. Żeby cytryniak mógł rosnąć w Botezji, trzeba było sprowadzić jeszcze sadzonki krzewu, zwanego dąbkim wierzbolistnym – od wąskich, ząbkowanych listków, bardziej podobnych do liści wierzby niż dębu; roślinę tę łączył z ulubionym grzybem kanclerza pewien rodzaj symbiozy, nazywany przez uczonych mikoryzą. I dąbek wierzbolistny, i cytryniak doskonale się zaaklimatyzowały w Lasach Nobalickich – niestety! Od tej chwili przywódca Republiki mógł oddawać się swojej ulubionej rozrywce, kiedy tylko chciał. I – jak na złość – droga z Dalgozanu do Nobalitu prowadziła właśnie ulicą, przy której Gogern od urodzenia mieszkał, więc za każdym razem kiedy służbowa limuzyna wiozła kanciasty i kościsty zadek kanclerza na grzybobranie, Gogern miał trudności z dotarciem po pracy do domu; Noah Sayandin do rannych ptaszków nie należał, zbierał grzyby zazwyczaj po południu... A Ortelar – kolega Gogerna z podstawówki, od dzieciństwa znany jako cwaniak i kombina-

tor – oczywiście nie miał powodów do narzekania: dostawy dla wojska, dla policji, dla urzędów, zamówienia rządowe, gwarancje rządowe na kredyty, których potrzebował, by te zamówienia zrealizować... W ciągu niespełna dwóch lat facet awansował w rankingu najbogatszych z dziewięćdziesiątego siódmego miejsca na trzecie i należało się spodziewać, że w następnej edycji będzie na czele. Oczywiście jeżeli... jeżeli go nie dopadnie ta... ta sama choroba, co tamtych trzech senatorów... Ale Ortelar senatorem nie jest. Więc chyba mu to nie grozi – a szkoda. Zasłużył, gnój, tak samo jak tamci, albo nawet bardziej.

No, trzeba jechać. Gogern jednym ruchem ręki zgarnął stos papierów z biurka i wrzucił do szuflady. Przekręcił klucz w zamku, wyszedł z gabinetu, przekręcił kolejny klucz, zbiegł po schodach – i po minucie siedział już za kierownicą swojego volkswagena. Koniec roboty na dziś. A jutro... cholera! Jutro znów przyjdzie ten Ulgur. Biedaczysko! Odkąd stracił biurko w IX Departamencie Ministerstwa Sprawiedliwości – przed paroma miesiącami kanclerz spuścił do kanału poprzedniego ministra, beczułkowatego i czerwono-nosego doktora Ploxa, a jego następcę pozbył się z resortu wszystkich kumpli poprzednika – biedny Ulgur wszędzie węszył spiski monarchistów. Właściwie powinien się nieborakiem zaopiekować psychiatrą – bo skoro Ulgur twierdzi, że przyczyną choroby psychicznej tamtych trzech senatorów były knowania monarchistów wysługujących się siłom nieczystym...

A swoją drogą – to jednak był problem dla parapsychologów. Każdy z poszkodowanych w samym środku równie płomiennego, co beznadziejnie głupiego przemówienia zaczął gadać nie wiadomo co w dziewięciu różnych językach. Jeden z nich okazał się używanym przez saharijskich Tuaregów językiem tamaszek. Dziwne.

Gogern naciskał pedał gazu, niebezpiecznie zbliżając się do górnej granicy dozwolonej przez kodeks drogowy. Nie zwracał uwagi ani na kałuże powstałe po pierwszej wiosennej burzy, ani na kwitnące pomarańczowo robinie Kellera (cud inżynierii genetycznej made in USA: mutacja zwykłej robinii akacyjowej, zakwitająca pod ko-

niec kwietnia, pokrywająca się liśćmi dopiero w połowie maja, o strąkach pełnych ziaren o składzie podobnym do ziaren pszenicy, w których na dodatek nie odkładały się metale ciężkie) i posadzone tu i ówdzie mrozoodporne, karłowate palmy daktylowe made in Canada, które też już zaczynały wypuszczać pąki. Ważne było dla niego jedno: zdążyć przed zamknięciem ulicy.

Zdażył. Zostawił volkswagena w garażu na tyłach bloku, wjechał windą na ósme piętro i ciężko opadł na fotel. Praca w wydziale do spraw zorganizowanej przestępczości to nie był żaden miód. Brakowało ludzi, brakowało sprzętu, a przeciwnik był coraz silniejszy i coraz lepiej zorganizowany. Tutejsze, botezyjskie gangi po obaleniu monarchii i otwarciu granic skumały się najpierw z zygalejskimi i regorańskimi mafiami; zanim botezyjska policja wpadła na trop tych powiązań, sieć poszerzyła się o kolejne ogniwa, znacznie silniejsze: gangi wschodniej Europy powstałe po upadku komunizmu, miały więcej czasu, żeby porosnąć w piórka. I zanim się ktokolwiek zorientował, już były w kilku miastach Botezji – a przede wszystkim w trzymilionowym Dalgozanie – doskonale zorganizowane siatki handlarzy polską amfetaminą, rosyjskich przemytników samochodów, a nawet tureckich handlarzy żywym towarem, dostarczające personelu niemieckim burdelom. Ledwo uchwycone nitki wymykały się z rąk, perfekcyjnie zaplanowane akcje policji nie udawały się, dowody przeciwko szefom płotek schwytyanych w policyjne sieci rozpływały się w powietrzu...

Hałas na dole świadczył, że kolumna samochodów wioząca kanclerza była tuż, tuż. Gogern podszedł do okna i popatrzył w dół. Faktycznie, pierwsze motocykle kompanii komandosów eskortującej Noaha Sayandina do Lasów Nobalickich na grzybobranie właśnie się pojawiły na skrzyżowaniu ulicy Demetridesa z aleją Republiki: nowiutkie białe maszyny, na nich dwumetrowe osiłki w granatowych mundurach i białych kaskach. Za nimi sunęła majestatycznie błękitna limuzyna z maleńką chorągiewką furkoczącą na masce. Kawałtka pomarańczowego materiału, dwa poziome ciemnoniebieskie paski (dwie rzeki płynące przez Botezję, zbliżające się do

siebie tam, gdzie legendarny książę Amadis założył miasto Dalgozan), między nimi siedem węższych, ukośnych (siedem księżniczek, córek-jedynaczek siedmiu legendarnych wodzów, które to nadobne dziewice miał Amadis poślubić w nagrodę za pokonanie smoka gnębiącego siedem krain składających się na późniejszą Botezję) – nowe barwy narodowe, wspomnienie Złotego Wieku heptarchii sprzed piętnastu przeszło stuleci; symbol Republiki przeciwstawiany złotemu tygrysowi na czarnym tle, godłu obalonej przed czterema laty dynastii.

A w środku siedział On. Znany całemu światu chudy drańgal z ogromnym nosem, wystającą dolną szczęką i rudymi wiechciami wąsów. Założyciel Radykalnego Ruchu Republikańskiego, przywódca buntu zakończonego zburzeniem osławionego Fortu B, więzień Cytadeli A ukrytej w górskich lasach przy zygalejskiej granicy. Noah Sayandin. Bohater Republiki. A ostatnio – bohater tysięcy dowcipów.

Za pancernymi szybami niewyraźnie majaczyła piegowata twarz kanclerza z rudymi wąsami, jego ulubiony brunatny krawat w białe prążki i wpięta w klapę plakietka w kształcie rombu, z trzema biegnącymi ukośnie literami R, połączonymi ze sobą w ciemnoniebieski hieroglif na pomarańczowym tle. Ten emblemat Radykalnego Ruchu Republikańskiego z czymś się Gogernowi kojarzył – ale z czym? Aha, właśnie: u tamtych trzech senatorów, którzy zwariowali w trakcie posiedzenia Wysokiej Izby, odznaka RRR jakoś szczególnie się rzucała w oczy. Rozmiary miała standardowe, kolory też, przypięta była tradycyjnie do klapy marynarki – a jednak jakoś dziwnie przyciągała wzrok. Dlaczego? Trudno powiedzieć.

Ciekawe, że do tej pory choroba nie zaatakowała nikogo z opozycji: żadnego monarchisty, nie mówiąc już o jedynym senatorze z Partii Komunistycznej, która po obaleniu monarchii wyszła z podziemia. „Czyżby Republikanie byli mniej odporni?” – zastanawiał się Gogern, śledząc wzrokiem komandosów zamykających kolumnę. No tak, Ulgur miał gotowe wyjaśnienie: to monarchiści w zмовie z siłami nieczystymi. Czyżby wylanie na zbity pysk z ministerstwa zaszkodziło biedaczynie do tego

stopnia, że zaczął wierzyć w czary? Ale z drugiej strony... Jak wytłumaczyć to, że ktoś zaczyna ni w pięć ni w dziewięć posługiwać się językiem, którego ani on sam, ani nikt czy prawie nikt w całym kraju nie zna? To chyba jednak sprawa dla parapsychologów.

Ulgur przyszedł jeszcze tego samego dnia. Pojawił się dosyć wcześnie: Idalia i Lalmia – żona i córka Gogerna – nie zdążyły jeszcze wrócić z pracy (wracały zresztą coraz później, bo firma Ordi & Carvese, gdzie pierwsza z nich była projektantką, a druga modelką, przygotowywała się właśnie do wielkiej wiosennej rewii mody), a syn – jak zwykle w środę wychodzący na lekcje jazdy konnej – chyba minął się z gościem na schodach. W każdym razie ledwo gdzieś na dole ucichły odgłosy kroków Bena – chłopak jak zwykle zbiegał po schodach, nie zwalniając na zakrętach – a już Gogern usłyszał bojaźliwe szurnięcia butów Ulgura za drzwiami. Po nich nastąpiła chwila ciszy – inspektor zawsze sobie wyobrażał, że jego gość na wszelki wypadek cztery razy odczytuje wizytówkę z napisem „Ignacius & Idalia Gogern”, by się upewnić, że dobrze trafił – a potem rozległ się dzwonek. Natan Ulgur wszedł, odsunął się, pozwalając gospodarzowi zamknąć drzwi od wewnątrz, i przez chwilę rozglądał się bojaźliwie po przedpokoju, jakby się obawiał, że za wieszakiem albo w szafce na buty czai się ukryty wróg.

Okazało się, że obsesja Ulgura na punkcie sił nieczystych, powodujących ataki szaleństwa u senatorów z RRR, wyraźnie przybrała na sile.

– Konsultowałem się z wybitnymi autorytetami, uznanymi na całym świecie – gorączkował się. – Tego musiało dokonać potężne medium. Medium świadome swoich celów...

– Ależ Natan – przerwał mu inspektor – czy ty naprawdę wierzysz w jakieś tam czary-mary?

– Czary-mary?! – oburzył się Ulgur. – Ty na to mówisz „czary-mary”?! Człowieku! Nawet sobie nie zdajesz sprawy...

– Więc nie chodzi o czary? To o co w takim razie?

– To swego rodzaju „opętanie na rozkaz” albo „na zamówienie”. Czyli pod wpływem kogoś zdolnego do narzucenia swojej woli duchom. Opętanie, Ignacius! Opę-ta-nie!!!

– Ty chyba zwariowałeś.

– Tak, zwariowałem... Czy ty, Ignacius, naprawdę sobie nie zdajesz sprawy z tego, że dla szatana i jego sług RRR jest solą w oku? Monarchia, monarchiści... To wszystko wiernie służyło przez całe lata...

„No tak, maniak religijno-polityczny” – pomyślał Gogern i wzruszył ramionami.

– Nie wierzysz? Weź Ewangelię według Świętego Mateusza...

Inspektor Gogern należał wprawdzie do Kościoła Chrześcijan Epifanistów, ale zawsze miał trudności z przypomnieniem sobie, do której z dwóch obediencji należy jego parafia: plotynistów czy eriugenitów. A już na pewno, podobnie jak wszyscy (poza jedną rodziną Świadców Jehowy) mieszkańcy bloku, będący epifanistami, katolikami czy luteranami, nigdy żadnej z czterech Ewangelii nie przeczytał. Dlatego opowiadanie Ulgura o opętanych mówiących różnymi głosami i różnymi językami, o wypędzaniu złych duchów, o szatanach wstępujących w wieprze – i tak dalej, i tak dalej – brzmiały dla niego jak baśń z tysiąca i jednej nocy.

– A może – wtrącił się nagle – teraz też ktoś te złe duchy wypędził z kogoś, więc wstąpiły w pierwsze z brzegu wieprze? A że trafiły im się akurat dwunożne...

Natan Ulgur spojrział na niego wzrokiem, w którym płonęło święte oburzenie.

– No tak. Zawsze podejrzewałem, że w gruncie rzeczy sympatyzujesz z monarchistami.

– Dobra, dobra, nie denerwuj się – uspokoił go inspektor. – A znasz może jakiegoś egzorcystę, który by mógł się tym zająć? Przecież ja się na tym nie znam, nie

mam ani kwalifikacji, ani uprawnień. Chodzi mi o kompetencje pozwalające się zająć tego rodzaju sprawą. Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

– Właśnie! – Ulgur wyraźnie się ożywił. – Są egzorcyciści! Inni eksperci też! Rzecz w tym, że trzeba im jakoś umożliwić kontakt z opętanymi. Albo pacjentami, jeśli wolisz to słowo. Na razie pacjentami...

– Nie rozumiem, dlaczego liczysz na mnie?

– Ależ, Ignacius – Ulgur gorączkował się coraz bardziej – tylko ABR może pomóc...

– Przecież nie jestem z ABR-u – przypomniał mu Gogern.

– Ale twój wydział ma ustawowy obowiązek współpracy z Agencją Bezpieczeństwa Republiki. Ty masz możliwości, masz kontakty... Trzeba im wcisnąć jakiś kit, rozumiesz, na przykład, że podejrzewacie jakiś sabotaż, jakieś podtruwanie środkami psychotropowymi. Plus telepatia, hipnoza czy co tam jeszcze...

– Aha. Rozumiem. Ale chyba powinienesz to załatwić z kimś innym. Idź do ojca Ariela. On się zna z kanclerzem.

Ulgur ciężko westchnął.

– Do tego heretyka?

Ojciec Ariel pokłócił się niedawno z hierarchią obu odłamów Kościoła Epifaniistów. Domagał się, by połączyć je poprzez wzajemne uznanie Świętego Plotyna i Świętego Eriugeny, a następnie proponował kanonizować jeszcze Platona i Gotschalka, uznając wszystkich czterech za ziemskie hipostazy archaniołów Gabriela, Michała, Rafała i Ituriela. Jak łatwo się domyślić, obydwie obediencje przestały się do niego przyznawać.

– Heretyk czy nie heretyk, ale ma dojścia. Kanclerz oficjalnie się do tego nie przyznaje, ale prywatnie utrzymują bardzo bliskie kontakty.

– No dobra, skoro twierdzisz, że to najlepszy sposób...

Sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Majaczeniami Ulgura, wziętymi za dobrą monetę przez ojca Ariela, niespodziewanie przejął się sam generał Ken Iglang, szef ABR-u. A jeśli nawet się nie przejął, to kazał mu się przejąć Noah Sayandin. Tak czy inaczej, wydział do spraw zorganizowanej przestępczości został wciągnięty w całą tę śmieszłą sprawę i teraz – jak z wisielczym humorem mówił Gogern – zamiast poszukiwać nieuchwytnych „capo di tutti capi” różnych gangów, trzeba było się zająć ostatnim, najwyższym szczeblem mafijnej hierarchii: złymi duchami, od których pochodzą wszelkie pokusy.

Na razie inspektor zajmował się „rzeczoznawcami”. Z jednej strony – miał spełniać najróżniejsze ich życzenia, docierać do faktów interesujących całą tę okultyzyczno-spirytystyczno-parapsychologiczną czeredę, umożliwiać kontakty i eksperymenty; z drugiej – miał tę hałastrę mieć na oku, bo była to zbieranina najróżniejszych typów: duchowni, do których nie przyznawały się (lub robiły to bardzo niechętnie) macierzyste Kościoły; aktywiści różnych sekt; wybitni znawcy ektoplazmy i ciała astralnego; specjaliści od lewitacji, telepatii, teleportacji i telekinezy; eksperci od Kabały, Różokrzyżowcy, adepci magii sympatycznej... Był tam nawet jeden najzwyczajszy pod słońcem radiesteta. Iglang oświadczył, że niektórzy z nich (a Gogern – całkiem prywatnie – sądził, że raczej wszyscy) mogą być zwykłymi hochsztaplerami albo nawet psychopatami i że „trzeba na nich uważać”. Za jakie grzechy powierzono to zadanie właśnie jemu – tego inspektor nie wiedział.

Teraz adepci wiedzy tajemnej w najlepsze się kłócili.

– Ksiądz Miken pewnie sobie wyobraża, że przepędzi Złego suchym kropidłem, nawet go nie podnosząc – wysyczał zgryźliwie Śri Anand Nirmal Asuralingam (w „cywilu” Remigius Patter), guru trzeciego stopnia sekty o nazwie Wspólnota Duszy Zjednoczonych w Olśniewającym Blasku Hipostatycznej Jedności Śiwy i Ahuramazdy, patrząc spod oka na epifanistę w popielatym habicie, znanego ekumenistę-inte-

grystę (ekumeniści-progresiści nigdy nie traktowali egzorcyzmów poważnie, więc oczywiście żadnego „eksperta” nie przysłali).

Ojciec Miken zgrzytnął zębami.

– Gdyby go pokropić wodą z Gangesu, w której się codziennie kąpie sto tysięcy brudasów pierwszy raz w życiu widzących wodę – warknął – to by od razu uciekł, zatykając nos. A gdyby jeszcze odetkać którąś z tych waszych blaszanych puszek z nieboszczykiem...

Sekta Śri Ananda, wierząca w identyczność hinduskiego Śiwy i perskiego Ahuramazdy, sprowadzała do celów rytualnych wodę z Gangesu, a zmarłych – zgodnie ze staroperskim zwyczajem – grzebała w budowli zwanej Wieżą Milczenia, zamykając ich jednak w metalowych pojemnikach, z których wypompowano powietrze, tłocząc na jego miejsce dwutlenek węgla.

Śri Anand Nirmal Asuralingam zerwał się z miejsca.

– Ksiądz się dopuszcza obrazy uczuć religijnych! – krzyknął piskliwym głosem.

– Spokojnie, panowie, spokojnie. – Radiesteta Maximus Buthor starał się nie dopuścić do kłótni. – Wróćmy do konkretów.

Pierwszym konkretem okazała się wiadomość przyniesiona przez aspiranta Baxana.

– Następnego dopadło! I to nie byle kogo!

– Kto taki?

– Senator Yonas Tapikh.

– Uuuu! – rozległo się. Tapikh nie był zwykłym senatorem, jednym z wielu szarych zjadaczy senatorskich diet; był przewodniczącym Komisji Ustawodawczej, a więc praktycznie trzecią osobą po przewodniczącym Senatu i jego zastępcach.

– Wyszedł Tapikh na trybunę – opowiadał Baxan – powiedział „Wysoka”, a „Izbo” już nie zdążył. Zaczął pleść trzy po trzy, nie wiadomo po jakiemu.

– Telewizja była? – zapytał ktoś.

– Była. Przewodniczący jeszcze nie podpisał zakazu transmisji.

Sprawę zakazu walcowano od dnia drugiego przypadku choroby, czy też opętania, ale na razie było wszystko po staremu. Każde słowo obrad, mądre czy głupie, słyszała na żywo cała Botezja.

– Czy już go przewieźli do kliniki? – zainteresował się radiesteta Buthor.

– Powinien być w drodze.

– Trzeba tam jechać – oświadczył Buthor. – Mam pewną teorię i trzeba by ją potwierdzić. Tamtych trzech zaczęliśmy obserwować dość późno, całe tygodnie po pierwszym... hmmm... ataku. Złapałem pewien ślad, ale za słaby. U tego czwartego powinien być wyraźniejszy.

– Co pan ma na myśli? – zapytał milcząco do tej pory psychotronik Tom Hoker.

– Udział przedmiotu o magicznych właściwościach, nazwijmy go roboczo inkluzem – wyjaśnił radiesteta. – A nawet całego łańcucha takich przedmiotów.

Psychotronik spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– No... Nie spodziewałem się, że pan też doszedł do takiego wniosku – powiedział. – Musimy to przedyskutować. Przypuszczam, że nasze metody obserwacji jakoś się uzupełniają. Ale najpierw, rzecz jasna, trzeba jechać do tej kliniki.

Sznur policyjnych mikrobusów miał z trzysta metrów długości. Po obu stronach trasy bloki ustępowały właśnie willom ukrytym wśród zieleni – znak, że do położonej poza miastem kliniki psychiatrycznej pozostała mniej więcej połowa drogi. W trzecim samochodzie Hoker i Buthor rozmawiali z młodym docentem z Instytutu Językoznawstwa Porównawczego Akademii Nauk Botezji, który dopiero co dołączył do grona ekspertów. Nazywał się Ambrosius Tekk, miał trzydzieści lat i sprawiał wrażenie zupełnie zbiegowanego na punkcie komputerów.

– I pomyśleć – perorował, wymachując ręką, w której trzymał długopis – że podtykano te nagrania po kolei turkologom, sinologom, afrykanistom, i tak dalej, licząc, że ktoś coś rozpozna i zrozumie. A komputery od czego? Przecież mamy zapisy systemów fonetycznych i leksykalnych większości języków świata! Tysiące gigabajtów! Wystarczyło zestawić to razem!

– I co pan odkrył? – przerwał docentowi Buthor, zmuszając go do większej zwięzłości.

– W zasadzie wszystkie języki udało się zidentyfikować...

– W zasadzie?

– Z jednym są pewne problemy. Te pozostałe to tamaszek z północnej Afryki, ale to już wiemy od tygodnia, a poza tym mon z południowej Birmy, nanajski, czyli gold znad rzeki Ussuri na rosyjskim Dalekim Wschodzie, chakaski z Syberii, hotentocki z południowej Afryki, aranta z Australii, jagnobi z Azji Środkowej i jeden z dialektów kirgiskiego.

– A ten dziewiąty?

– Właśnie z nim są kłopoty. Na początku widać było, a raczej słychać, podobieństwo do jagnobi, ale bardzo odległe. Po uważniejszym przyjrzeniu się zapisowi fonetycznemu doszedłem do wniosku, że to jakiś stary dialekt z rodziny indoirańskiej, a mówiąc ściśle – irańskiej, ale na pewno nie tak stary, jak język Awesty. Kilka zapożyczeń greckich i starogermańskich wskazywałoby na północne wybrzeża Morza Czarnego. Może to jakieś narzecze późnoscytyjskie albo sarmackie? Oczywiście z czasów wędrówek ludów, trzeci albo nawet czwarty wiek, co by wyjaśniało te germańskie naleciałości. Niestety nie dysponujemy prawie żadnym materiałem porównawczym.

– A czy oni we wszystkich językach mówią to samo? – zapytał Hoker.

– W zasadzie to samo, tylko z elementami takiego czy innego, że tak powiem, kolorytu lokalnego. W kółko tylko albo złoto, albo krew. Majaczenia sadysty oszalałego na punkcie bogactwa, i chyba jeszcze władzy albo sławy.

Dojechali do kliniki. Dyrektor, witając ich, sprawiał wrażenie zakłopotanego. Przyczyny tego zakłopotania szybko się wyjaśniły.

– Mamy dodatkowy problem, panowie – powiedział. – Podobne objawy wystąpiły u dwóch naszych pielęgniarzy.

Eksperci spojrzeli na siebie ze źle ukrywanym przerażeniem. Tylko Hoker i Buthor zachowali zimną krew.

– Czy to ci, którzy zajmowali się senatorami? – zapytał Hoker.

– Tak jest. Ale nie wszyscy.

– A co robili ci dwaj? – zapytał z kolei Buthor.

– Między innymi przebierali ich... Chwileczkę... Ale przecież nie tylko oni...

– A więc – kontynuował Buthor – jakie czynności wykonywali wyłącznie ci dwaj i nikt poza nimi?

– Bo ja wiem? – Dyrektor rozłożył bezradnie ręce. – Chyba zabezpieczali ich ubrania w magazynie...

Hoker i Buthor spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Byli na tropie.

– Czy to na pewno ludzie uczciwi i solidni? – zapytał Hoker. – Czy nie przywłaszczyli sobie jakichś przedmiotów znalezionych w kieszeniach?

– Wszystko zostało komisyjnie sprawdzone i spisane – zapewnił dyrektor. – Nawet chusteczki do nosa. Oni tylko... No właśnie: dla żartu przypięli sobie na chwilę plakietki RRR do fartuchów, ale zaraz zdjęli.

– Inkluz! – szepnął Buthor do Hokera. Ten potwierdził ledwo dostrzegalnym ruchem głowy.

– Proszę? – Dyrektor usłyszał, ale oczywiście nie zrozumiał.

– Nic, nic. Chodzi o pewne nasze domysły – odpowiedział Hoker. – A te plakietki musimy zbadać. Oczywiście nie natychmiast. I trzeba będzie zachować pewne środki ostrożności, bo to może się okazać niebezpieczne.

– Tak myślałem – powiedział Hoker, odkładając na stół ośmioramienną mosięzną gwiazdę z grecką literą omega w środku. Położył ją tuż przy zakreślonym zieloną kredą potrójnym kręgu otaczającym cztery plakietki RRR.

– To znaczy...? – Inspektor Gogern wiedział o tym, co Hoker mógł myśleć, jeszcze mniej niż siedzący obok egzorcyciści, okultyści i spirytyści.

– Ostatnie, równorzędne ogniwa całego łańcucha inkluzów – wyjaśnił psychotronik.

– Trzeba teraz znaleźć poprzednie ogniwa – dodał Buthor. – Chociaż wystarczyłoby odszukać to pierwsze, będące punktem wyjścia, początkiem łańcucha.

Nagle gdzieś w kącie rozległ się jakiś hałas. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, co było jego przyczyną. Okazało się, że to Ulgur gwałtownie zerwał się z miejsca, przewracając krzesło.

– Czy ja dobrze zrozumiałem?! – zapiszczał śmiesznym falsetem. – To ma znaczyć, że... że szatan siedzi w tych plakietkach, tak?!

– W dużym uproszczeniu można by to tak określić – potwierdził Buthor.

– Kłamstwo! – wrzasnął Ulgur. – Manipulacja! Oszustwo! Spisek! Ten symbol jest czysty, święty! To wy jesteście opętani! Służycie monarchistom i szatanowi! Zdrada!!!

Ulgur miotał się po całym pokoju, przewracał krzesła, kopał ściany, kogoś popchnął, kogoś uderzył... W końcu dwaj mężczyźni w białych fartuchach wyprowadzili go. Przez chwilę jeszcze z korytarza dobiegały jego dzikie wrzaski.

– Ten przypadek na pewno nie ma w sobie nic nadprzyrodzonego – stwierdził Hoker.

– Możemy teraz wrócić do naszych inkluzów – powiedział ktoś. Jak się okazało, był to najmłodszy i najrzadziej się odzywający spośród uczestników narady, młody parapsycholog Ron Pattalini, specjalizujący się w zupełnie nowej dziedzinie zwanej onironomią.

– Mam pomysł, który pomoże znaleźć inne ogniwa łańcucha – powiedział, kiedy wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Potrzebuję tylko jakiegoś... powiedzmy: medium. Oczywiście nie w takim sensie jak przy wywoływaniu duchów. Po prostu potrzebny jest ktoś, kto miewa bardzo wyraziste, plastyczne sny.

– Czy to jest bezpieczne? – zapytał Ambrosius Tekk.

– Oczywiście. W stu procentach.

– To ja się decyduję.

– Dobrze. A pan, panie Kelish – Pattalini odwrócił się do znanego w całej Botezji hipnotyzera – musi mi trochę pomóc.

...na targu niewolników w nadmorskim Phasis. Barsanes zgrzyta zębami, kiedy ten tłusty kupiec obmacuje muskuły jego rąk i nóg, pociąga za włosy, zagląda w zęby... Barsanes wymiotuje na galerze, Aleksandria, jak to miasto śmierdzi, gdzie te bezkresne stopy pachnące trawą...

...amulet, po co niewolnikowi amulet, zresztą pewnie niewiele wart, skoro go nie chronił, a może jednak, może niewolnik rozgniewał swoich bogów, a amulet może się przydać, Barsanes oddała się, czujemy gorący wiatr pustyni...

– To by wyjaśniało, skąd się wziął język tamaszek – mruknął Hoker.

...bitwa, wielka bitwa, stopa legionisty na karku dumnego wojownika pustyni, dokoła krew, krew, krew, wrzaski i jęki rannych, i znów targ niewolników, Hadrumentum, co za nędzna, śmierdząca miejscina, i dumny wojownik zgina plecy nad wiosłem, świszczą baty, i znów krew, znów krzyki, wrzaski, amulet zwisa na sznurku, mag Hystaspes nie po to go zrobił, by przyniósł szczęście, i my nie po to jesteśmy, a teraz na południe, niegościnne brzegi za lewą burtą, ludzie o czarnej skórze bijący w bębny...

– Pewnie jakaś próba opłynięcia Afryki – stwierdził Kelish.

...tego sztormu nikt nie przeżyje, czujemy zbliżające się skały, woda już się wdziera do wnętrza galery, i już po burzy, wiosłarze leżą na mokrym piasku, a tamci nadchodzą, wełniste głowy pochylają się, oglądają, zabierają wszystko, co może się przydać, to co nieznane też, nóż, łańcuch, amulet, czujemy dym z paleniska w chacie byle jak skleconej z gałęzi...

– Znosi się na podróż dookoła świata – skomentował Pattalini.

...niewolnicy są potrzebni w kopalniach Sofali, ale kupcy z północy o jasnobrązowej skórze też chętnie kupują dobry towar, w porcie Berenice na zachodnim brzegu Sinus Arabicus za zdrowego czarnego niewolnika greccy kupcy płacą uczciwą cenę, która to już galera, który to targ niewolników, który to port, pełno tu statków o nieznanym kształcie, pełno żeglarzy z dalekich mórz południowego wschodu, żeglarzy i kupców o skośnych oczach, czarnego niewolnika z amuletem na szyi wprowadzają na taki statek, skośnooki monarcha ma dwieście żon, kręci się wokół nich cały legion eunuchów, czarny niewolnik będzie jednym z nich, już jest, jeszcze tylko musi wyzdrowieć, ale nie wyzdrowieje, choć już nabrał sił, wystarczająco dużo sił,

by przetrącić kark człowiekowi zmieniającemu opatrunek, ucieka, ścigają go, zaraz dościgną, ale nie, nie dościgną, niewolnik z amuletem znika w nurcie rwącej rzeki, i już mokry piasek, mokry muł, lata, wieki...

– A cóż to takiego? – zdziwił się Tekk.

– Zobaczymy – odpowiedział Buthor. – Jedźmy dalej.

...jaki on jest podobny do Barsanesa, chociaż włosy ma jaśniejsze, dużo jaśniejsze, jest poddanym potężnej władczyni z Północy, powiedziano mu, że w wysychającym starorzeczu znajdzie złoty piasek, nie znalazł, siedzi teraz na pokładzie statku, dziwny statek, bez wioślarzy, nie znaliśmy takich do tej pory, i czyści z patyny znalezione pod warstwą otoczków amulet, idzie z tym amuletem na szyi przez dziwną krainę, gdzie biegają na tylnych łapach jakieś dziwaczne stwory, których samice noszą swoje małe w torbie na brzuchu, on tam wreszcie znalazł swój złoty piasek, znalazł i żelazo, utkwilo w jego sercu, bezcenny złoty piasek zniknął, krew wsiąka w ziemię, mijają pory roku, nad zbielełym szkieletem pochyla się czarna twarz, jedna ręka trzyma jakąś dziwną broń wracającą do tego, kto nią miota, druga ręka sięga po amulet, mijają dni, mijają noce, inna dziwna broń, z hukiem zabijająca na odległość, przebija małą dziurkę tuż nad amuletem, twarz pokryta rudym zarostem z ciekawością przygląda się amuletowi, i znów statek, bunt załogi, z rudobrodym wodzem korsarzy płyniemy na północ...

– No no. Z tego by można zrobić parę niezłych powieści przygodowych – stwierdził Hoker.

– Właśnie. Skrzyżowanie Verne’a z Cooperem – dodał Kelish.

...i oto wybucha zaraza, na statku już nie ma żywego ducha poza samym rudobrodym, wszędzie zapach śmierci, kapitan schodzi na ląd, błąka się po puszczy, on przeżył, nie po to jesteśmy tutaj, by skracać czas oczekiwania na koniec cierpień, głód, głód, kapitan zwisa już z najgrubszej gałęzi pochylonego nad wodą drzewa, amulet pada w trawę, podnoszą go ręce łowcy uzbrojonego w łuk i strzały, ten oddaje go dowódcy stu jeźdźców służących dalekiemu monarsze imieniem Aleksander, oddział z rozkazu monarchy wędruje tysiące mil na zachód, nad jedną wielką rzekę, potem drugą, płynącą przez skaliste góry i pustynie, tam otacza nas dobrze znajoma aura, jest tam duch wroga naszego Zaratusztry i przyjaciela naszego Timura, jeźdźcy walczą z buntownikami, dowódca ginie...

– Nikomu nie przynosił szczęścia ten amulet – mruknął Buthor.

– Bo też najwyraźniej nie o to chodziło – odpowiedział Hoker. – Raczej wprost przeciwnie.

...mówiono o niej, że jest najpiękniejszą dziewczyną Wschodu, piękną jak zorza o poranku, najcudniejszą z róż Gulistanu, i wziął ją za żonę potężny szejk, a ona kochała urodziwego Arslana, i po nocy poślubnej otworzyła okno pałacowej wieży, czuliśmy pęd powietrza, widzieliśmy pędzące w górę płyty dziedzińca, gdy ona mknęła na spotkanie śmierci, ściskając w dłoni amulet...

– „Harlequin”. – Pattalini wzruszył ramionami.

– Niezupełnie. Tam się zazwyczaj wszystko kończy szczęśliwie – przypomniał mu Buthor.

...rdza i wilgoć, wilgoć i rdza, przez wiek cały albo i dłużej, potem stopy zardzewiałych blach brzęczą, dużo ognia, żar, huczą młoty, jakieś dziwne maszyny...

– Czyżby nasz amulet w końcu poszedł na złom? – zdziwił się Hoker.

...nie ma amuletu, mały śmieszny młoteczek wali w dwadzieścia podłużnych kawałków metalu, tkwią w kawałku świńskiej skóry, gdzieś wyżej jest żywy człowiek, a my mamy mniej siły niż przedtem, czujemy to, oddaleni jesteśmy od siebie, stary brąz pomieszany z pospolitym żelazem, metal raz po raz dotyka ziemi, jakiejś twardej smoły...

– Aha, przetopili amulet, zrobili gwoździe i przybili nimi zelówkę – skojarzył Hoker.

...dziwny jest ten wehikuł, coś się spala i on się porusza, nie wiemy, co oznaczają te znaki z tyłu i niebiesko-żółty pasek obok...

– W tym bucie chodził jakiś Ukraińiec – odkrył Buthor. – Coś dla pana, inspektorze.

– Może go znajdziemy – odpowiedział Gogern, sięgając po notes.

...mocne ciosy w głowę, w pierś, zabierają mu te śmieszne papierki używane zamiast złota i srebra, ktoś wyciąga nóż, on ucieka, ucieka, teraz już bez nas, kawałki metalu tkwiące w kawałku skóry zostają, on biegnie dalej, oddala się, utykając...

– Ma pan wskazówkę, inspektorze. – Pattalini uśmiechnął się. – Okradli tego Ukraińca, usiłowali zabić, a on, uciekając, zgubił but.

– O ile mu się udało uciec – zauważył Gogern. – Ale myślę, że tak. Zabójstwa... hmmm... turyści z Ukrainy w ostatnich czasach chyba nie mieliśmy.

...zbliża się wróg, ktoś silny, potężny, gdyby istniał amulet, ale nie istnieje, jest dwadzieścia kawałeczków metalu, musimy uciekać, ooooo, uuuuu, kch-kch-kch...

– I to wszystko – podsumował Kelish. – Tyle pan w tym transie nagryzmolił, panie Tekk.

– A więc mamy, a raczej mieliśmy, siły nieczyste zaklęte w starożytnym amulecie, który niedawno został przetopiony i przerobiony na gwoździe. Mówiąc ściślej, na szewskie ćwieki. Potem Złe gnieździło się w podeszwie zgubionego buta, a stamtąd się wyniosło i w jakiś sposób wstąpiło w plakietki RRR – wywnioskował Buthor.

– Więc tak wyglądają te piekielne moce, które wspomagają monarchistów, według naszego biednego Ulgura. – Gogern pokiwał głową.

– Jakie tam piekielne moce! – mruknął pod nosem parapsycholog-mediumista Ardhani. – Zautonomizowane projekcje ektoplazmatyczne po prostu. Spirytystyczne nieuctwo, cholera jasna!

– Teraz trzeba będzie znaleźć ten but – stwierdził Pattalini.

– A tak na marginesie – dodał Hoker – końcówka tego... hmmm... monologu, czy może strumienia świadomości, świadczyłaby, że pojawił się tam jakiś egzorcysta.

Ogłoszenie, które ukazało się w gazetach Botezji i Ukrainy, a równocześnie w krajach, przez które trzeba było przejechać, by dostać się z Kijowa do Dalgozanu, dało natychmiastowy efekt. Pechowy właściciel zgubionego buta nazywał się Iwan Twerdochlib i pracował na czarno w Botezji, niedaleko od Dalgozanu, w firmie budowlanej. Zgłosił się od razu, zwabiony obiecaną w ogłoszeniu nagrodą i przyrzeczeniem puszczania w niepamięć wszelkich wykroczeń przeciwko botezyjskiemu prawu – oprócz najcięższych przestępstw, jakich ten prostoduszny człowiek nigdy by nie popełnił – i uzyskaniu karty stałego pobytu, na której szczególnie mu zależało.

– Zabrali mój samochód i już go więcej nie widziałem – kończył swoje opowiadanie. – Stary był ten moskwicz, ale całkiem sprawny, szkoda...

– Więc to było w Saphirze? – zapytał Gogern. – W którym miejscu dokładnie?

– Tak. Nie pamiętam, jak się nazywa ta ulica. Tam jest taka fabryka, nie wiem, co oni produkują, ale zużywają mnóstwo lakierów i emalii. Na śmietniku wala się pełno puszek, miesiącami nikt tego nie wywozi...

– Wiem, Wielobranżowe Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Usługowo-Handlowe „Puk-Puk”, spółka z o.o. – przypomniał sobie ktoś.

– Z nieograniczoną odpowiedzialnością – mruknął Kelish.

– U nich RRR zamawiał ostatnio plakietki! – olśniło kogoś innego.

– Czy pamięta pan, panie Twerdochlib, w którym miejscu zgubił pan ten but? – zapytał inspektor.

Ukraińiec zdziwił się, bo nie rozumiał, jakie to może mieć znaczenie dla policji, ale natychmiast odpowiedział:

– Oczywiście. Tam jest taka droga prowadząca do bocznej bramy, pełno w niej dziur, z jednej strony śmietnik, z drugiej krzaki. To było koło tych krzaków.

– Ja tego buta widziałem! – rozległ się nagle jakiś dziecinny głosik.

– Cholera jasna, miałeś czekać w hallu, gówniarzu! – syknął parapsycholog Ardhani. Głos należał do jego sześciolatniego synka, który wszedł nie wiadomo kiedy i teraz patrzył na nich dużymi jasnobrązowymi oczami spod ciemnych, prawie czarnych brwi i złotej grzywki cherubinka.

– Niech się pan nie denerwuje, panie Ardhani. – Inspektor uznał, że trzeba interweniować. – Może chłopiec nam coś ciekawego powie. Jak masz na imię?

– Erni.

– Powiedz nam, Erni, kiedy to było?

– Jakiś miesiąc temu...

– Gdzie ty się włoczyłeś?! – przerwał mu ojciec. – Miałeś siedzieć na podwórku przed domem, przez ten czas, kiedy ja byłem u cioci. Zresztą porozmawiamy w domu! Proszę, inspektorze.

Uwadze inspektora bynajmniej nie uszła zmiana barwy uszu Ardhaniego przy słowie „ciocia”. No cóż, słomiany wdowiec...

– No, Erni, mów dalej – zachęcił chłopca. – Widzisz, że tatuś już przestał się gniewać.

– Bawiłem się tam. Szukałem takich fajnych różowych pudełeczek z plastiku. I zobaczyłem tego buta...

– Ten but! – poprawił go ojciec.

– On leżał do góry podeszwą. Była przybita takimi małymi gwoździkami...

– Właśnie! – szepnął ktoś.

– ...a w środku, w bucie, siedziały takie brzydkie duchy...

– Duchy?!

– Duchy. Brzydkie. Trochę złe. I ja im powiedziałem, żeby sobie poszły. One zobaczyły, jak taki pan przeła... przeła... przeładowywał...

– Przeładowywał – wtrącił się ojciec.

– ...z ciężarówki na wózek takie fajne puszkę, niebieskie z różowymi literami.

I duchy poszły się tymi literami bawić.

– Jakie to były litery? – indagował Gogern. – Umiesz już czytać?

– Nie umiem. Mogę narysować.

I nie czekając na odpowiedź, mały Erni podszedł do białej tablicy, wziął czerwony pisak i narysował trzy litery: S.U.S. Skrót był dobrze znany. S.U.S. GmbH była to niemiecka firma produkująca farby, emalie i lakiery.

– Prawie jak w Gerazie! – krzyknął ojciec Miken, chwytając się za głowę.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Tam właśnie złe duchy, wypędzone z opętanego, wstąpiły w wieprze – wyjaśnił Miken. A widząc, że nadal nikt nie rozumie, o co chodzi, jęknął: – O Boże Wszchemogący! Co za barbarzyńskie czasy nastały! Czy już nikt w tym kraju nie rozumie łaciny?! Toż „sus” po łacinie znaczy po prostu „świnia”!

– Faktycznie – odezwał się Śri Anand. – Ale nigdy bym nie pomyślał, że ksiądz jest nominalistą.

– Czym?

– O wielki, promienny Ahuramazdo! Czy was w seminarium nie uczyli historii filozofii?! I to chrześcijańskiej, bądź co bądź, bo spór nominalistów z realistami to przecież zachodnioeuropejskie średniowiecze!

– Aha, rzeczywiście, coś sobie przypominam – przyznał ojciec Miken, trochę zmieszany.

Gogern uznał, że najwyższy czas podsumować.

– Tak więc, panowie, to coś, cokolwiek to jest...

– Na pewno nie duch czy duchy – zapewnił kategorycznie parapsycholog Ardhani. – To na pewno zautonomizowane projekcje ektoplazmatyczne o strukturze ciała paraastralnego...

– Mniejsza z tym – uciał inspektor, widząc, że wszyscy egzorcyci i spirytyści już są gotowi do ostrej polemiki. – A więc to coś weszło w puszkę emalii użytej do produkcji pewnej ilości plakietek RRR. Trzeba podjąć następujące kroki: po pierwsze, żadna plakietka RRR wyprodukowana w Saphirze po dniu napadu na pana Twerdochliba nie może być przez nikogo noszona; po drugie, trzeba te wszystkie plakietki, wraz z dotychczasowymi ofiarami, poddać egzorcyzmom. Myślę, że ten zabieg może się nie udać bez pomocy naszego Erniego. W końcu on już raz skutecznie je przepędzał z jednego miejsca na drugie. Pan się oczywiście zgadza, panie Ardhani?

Z Sali Kongresowej dawnego Królewskiego Pałacu Zgromadzeń wyniesiono fotele. Na posadzce ułożono rzędami tysiące zwróconych przez właścicieli emblematów RRR. Pomiędzy nimi chodził Erni z małymi grabkami i łopatką – jedno i drugie posmarowane było jakąś sporządzoną przez Hokera i Buthora miksturą w kolorze zgniłozielonym – i powtarzał zabieg, jaki wcześniej przy pomocy trochę większych narzędzi wykonał w firmie „Puk-Puk”: od czasu do czasu zagarniał tymi grabkami którąś plakietkę. Kiedy łopatka była pełna, wsypywał jej zawartość do kubła – też pomazanego zgniłozieloną miksturą – który niósł za nim ojciec. Pan Ardhani mruczał przy tym ze złością:

– Zautonomizowane projekcje ektoplazmatyczne o strukturze ciała paraastralnego, cholera jasna! Żadne spirytystyczne duperele! Projekcje ektoplazmatyczne, bando tępaków!

– Gotowe! – oświadczył w końcu Erni, stawiając kubeł na scenie. Obok kubła położono nosze z czterema poszkodowanymi senatorami i dwoma pielęgniarzami. Wtedy Erni podniósł pokrywę stojącego w głębi sceny pojemnika w kształcie półkuli, odsłaniając gipsowe popiersie obalonego przed kilku laty ostatniego króla Botezji, Berengariusza IV.

– Idźcie do tego brzydkiego pana, paskudy! – powiedział. – Idźcie się z nim bawić. A sio! A sio!

Popiersie rozblęskło fioletową poświatą. Erni opuścił pokrywę.

– Załatwione – ogłosił.

Inspektor Gogern powoli szedł korytarzem kliniki psychiatrycznej w towarzystwie żony, córki, syna i małego Erniego. Ardhani był rozwiedziony – żona znalazła sobie

w USA nowego męża – więc gdy trafił do kliniki z objawami schizofrenii paranoidalnej, Gogern zaopiekował się jego synem.

– Zdrada! – usłyszeli z izolatki po lewej stronie. – Spisek monarchistów! Szatan zstąpił na Ziemię, by obalić Republikę! Zdrada!

– Duchy! Jakie duchy?! – rozległ się wrzask z izolatki po prawej. – Średnio-wieczne przesady! Brednie spirytystów! Zautonomizowane projekcje ektoplazmatyczne, cholera jasna! O strukturze ciała paraastralnego! Nie żadne duchy! Popieprzony ciemniaku jeden z drugim!

Mały Erni miał bardzo smutną minę.

– Tu nie ma żadnych duchów – oświadczył. – Temu panu nic nie pomogę. Tatusiowi też nie. – Mocno chwycił Bena za rękę. – Już zawsze będziesz moim braciszkiem, prawda?

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl